

Katastrofa pod kontrolą

Wniosek, że zrobiono wszystko, by do katastrofy smoleńskiej doszło, jest jak najbardziej słuszny. Służby na całym świecie widzą to podobnie. Im więcej mija czasu, tym więcej mamy poszlak, które prowadzą w stronę hipotezy o zamachu – mówi Piotr Wroński, były oficer służb specjalnych, w rozmowie z Markiem Pyzą.

10 kwietnia 2010 r. był pan oficerem Agencji Wywiadu. Gdzie zastała pana informacja o katastrofie?

To był chyba pierwszy cieplejszy dzień tej wiosny. Wybierałem się z dzieckiem na spacer, gdy usłyszałem, że doszło do katastrofy. Natychmiast przykleiłem się do telewizora. Po kilku chwilach okazało się, że najprawdopodobniej wszyscy pasażerowie zginęli.

Co w takiej chwili robi oficer AW? Co należy do jego zadań?

Nie mogę powiedzieć, w której komórce pracowałem, „dość operacyjnej”, zajmującej się m.in. tym kierunkiem.

Wschodnim?

Tak. Chwyciłem za telefon. Byłem przekonany, że za moment pojedę do pracy. Z takim nastawieniem dzwonili też do mnie młodszy koledzy, podwładni. Ale nikt z przełożonych nie odbierał. Pojechałem do Agencji. Okazało się, że nikogo tam nie ma. Po paru godzinach wreszcie ktoś do mnie zadzwonił. Niestety ta nasza chorobliwa tajność zabrania mi powiedzieć, kto to był, bo dziś jest czynnym oficerem.

Jakiego szczebla?

Dyrektorskiego. Zapytał: „O co ci chodzi, po co się dobijasz?”. Odpowiedziałem, że przecież doszło do ogromnej tragedii i chyba jest jasne, że obowiązuje jakiś stan podwyższonej gotowości. On na to: „Czyś ty zwariował? Masz wolny dzień, jest ładna pogoda, idź na spacer”. Zgłupiałem. Dla porównania – 11 września 2001 r. byłem na placówce w Londynie. Służby brytyjskie od razu wprowadziły stan gotowości. Więcej – niedawno jeden z byłych szefów GROM przyznał, że po atakach na WTC mieli stan podwyższonej gotowości. Natomiast nie słyszałem, by tak było 10 kwietnia.

Ma pan wiedzę, co się działo 10 kwietnia w innych służbach?

Z tego, co wiem, było podobnie. Zadzwonił do mnie kolega z ABW zdziwiony, że u nich właściwie też nic się nie dzieje. Później usłyszałem – mogę to traktować wyłącznie jako ustną relację nieoficjalną, czyli formalnie plotkę – że jedyną grupą postawioną na nogi w ABW była grupa realizacyjna, która spieszyła zabezpieczać BBN.

Czyli przez cały weekend nikt w AW nic od pana nie chciał?

W ogóle. W poniedziałek z kolegą, z którym razem jeździliśmy do pracy, włożyliśmy czarne krawaty. Ktoś powiedział mi na korytarzu, żebym się nie wygłupiał i nie robił demonstracji politycznych, bo przecież to nie mój prezydent zginął. Zszokował mnie. Fakt, nie byłem i nie do końca jestem zwolennikiem Prawa i Sprawiedliwości. Ale zawsze byłem oficerem i dla mnie prezydent jest głową państwa, której należy się szacunek, bez względu na barwy polityczne.

Kto pana tak strofował?

Znów muszę się zasłonić tajemnicą. Ale też chodziło o funkcjonariusza wysokiego szczebla. Sam miałem wtedy stanowisko – merytorycznie – dość wysokie, choć nie byłem żadnym dyrektorem.

Ilu miał pan pod sobą ludzi?

To nie ma większego znaczenia. Niestety nie możemy o wszystkim swobodnie rozmawiać. W Agencji Wywiadu są stanowiska urzędnicze i merytoryczne. Ja analizowałem sprawy dla niemal wszystkich jednostek AW. Kierunkowałem pewne rzeczy. Byłem przekonany, że łąda chwila dowiem się o powstaniu specjalnej grupy w Agencji, która będzie wykonywać czynności operacyjne. Usłyszałem jednak od przełożonego, że sprawa należy do prokuratury. Ale przecież śledczy w wielu kwestiach mają związane ręce! Muszą działać w granicach procedur, które służb nie dotyczą.

Poza tym nie mają wiedzy, ekspertów pod ręką, źródeł.

Nie mają możliwości działań operacyjnych. Nie wiem, czy ze strony śledczych były formułowane jakieś wnioski o działania operacyjne, ale żadnej aktywności nie zauważyłem. A musiałbym o niej wiedzieć.

Czy według procedur obowiązujących w 2010 r. w Agencji Wywiadu powinien być pan zostać postawiony w stan gotowości?

Oczywiście. Natychmiast. Jeżeli mamy nadzwyczajną sytuację, a taką jest tragiczna śmierć prezydenta i 95 towarzyszących mu nietuzinkowych osób, to każda służba na świecie a priori zakłada, że doszło do zamachu. Nieważne, co rzeczywiście się stało. Proszę sobie wyobrazić, że po 11 września Amerykanie powołali kilka grup operacyjnych, w których bardzo długo rozważano, czy jednak nie doszło do wypadku, wbrew wszystkim dowodom. Taki jest sens działania specsłużb. Po ataku na WTC działania operacyjne były wszczęte chyba w każdej ambasadzie amerykańskiej na świecie. Widziałem, jak 11 września zaczęli się zachowywać oficerowie CIA i FBI w Londynie. W stan gotowości postawiono całą ambasadę.

Co to fizycznie oznacza?

Na przykład wzmocnienie nadzwyczajnej ochrony, jak na czas wojny (Anglicy zachowali się podobnie), ale przede wszystkim zintensyfikowanie wszelkich działań operacyjnych zmierzających do wyjaśnienia sprawy – rozpoznania zagrożenia i neutralizacji innych zagrożeń. 10 kwietnia powinien błyskawicznie powstać interdyscyplinarny międzysłużbowy zespół – chodzi mi głównie o wywiad i kontrwywiad, zarówno wojskowy, jak i cywilny – zajmujący się wyłącznie katastrofą i rozpatrujący różne warianty. Takie grupy formowano w podobnych przypadkach na świecie, np. po Lockerbie. O tym zamachu opowiadał mi człowiek nie z FAA [Federalna Administracja Lotnictwa nadzorująca lotnictwo cywilne w USA – przyp. red.], lecz z FBI. Znalezienie winnych było zasługą właśnie działań operacyjnych. Jak dla każdego zawodowego oficera służb specjalnych z 30-letnim stażem, zamach w Smoleńsku jest dla mnie podstawową hipotezą, którą należy weryfikować, a dopiero później wszystkie inne. Gdy się przeanalizuje wszelkie okoliczności budzące poważne wątpliwości, nie sposób od tego uciec.

Co się panu rzuca w oczy na samym początku?

Zacznijmy od składu delegacji i sytuacji geopolitycznej. To pierwszy alarm, by badać zamach.

Ma pan na myśli nie tylko samego prezydenta, który był jednym z najbardziej niewygodnych polityków dla Kremla?

Dał się Rosjanom dobrze we znaki. Zrobił coś, czego nie potrafił nikt inny. Wciągnął do obrony Gruzji innych przywódców – z państw bałtyckich i Ukrainy. A to wstrzymało ofensywę Rosjan. Ale na pokładzie był też np. wiceminister odpowiedzialny za zakupy nowoczesnego uzbrojenia. Jego śmierć opóźniła negocjacje z Amerykanami, a Rosjanie zyskiwali czas na przygotowanie się.

No i dowódcy wszystkich rodzajów wojsk.

Jedyni, którzy nie kończyli szkół w Rosji, lecz na Zachodzie. Proszę zwrócić uwagę na to, że polityka resetu z Rosją zaczęła się tak naprawdę po Smoleńsku. *Scelus is fecit cui prodest* – zbrodnię popełnił ten, kto odniósł z niej korzyść. A kto odniósł? Rosjanie i obóz władzy w Polsce. Przykro mi, że muszę to stwierdzić.

Kieruje pan zatem snop światła również na ówczesną władzę w Warszawie jako potencjalnie zainteresowaną tym, co się stało.

Nie chcę nikogo oskarżać, ale co mam myśleć, gdy widzę własnego premiera płaszczącego się przed Putinem? Rozumiem, że stanął w obliczu tragedii, ale obejmowanie się dwóch polityków, delikatnie mówiąc, nie przystoi. Putin przejął inicjatywę. Widziałem jego zimną twarz. Dobrze wiedział, co robi. A dzięki niewyjaśnieniu tego, o czym za chwilę powiemy, dzięki nieobecności służb, skreśleniu od razu tezy o zamachu, można dojść do wniosku, że polski rząd był szczerze zainteresowany pozbyciem się niektórych ludzi. Powtarzam – boję się takiego oskarżenia. Bo co się wtedy okazuje; że dla kogo ja pracowałem?

Dla morderców...

No właśnie. Potwornie więc się tego boję. I wolałbym szukać przyczyn np. w bałaganie organizacyjnym. Ale trudno zamknąć oczy na fakty, które wręcz krzyczą.

Spójrzmy na nie. Co z procedurami bezpieczeństwa na lotnisku? Zna je pan niezłe, bo wielokrotnie ich pilnował w angielskiej stolicy.

W ciągu sześciu lat na placówce w Londynie trzykrotnie miałem wizytę Aleksandra Kwaśniewskiego, wszystkich urzędujących w tym czasie premierów, parę razy przez angielską stolicę przelatowała pani Kwaśniewska. Do moich obowiązków należało zabezpieczanie tych wizyt. Przy okazji mogłem np. przyglądać się przygotowaniom do przyjazdu George'a Busha. 36. pułk był co prawda podległy ministrowi obrony i wojsku, ale tak naprawdę zawsze rządziła nim kancelaria premiera. Gdy premier i prezydent byli z różnych obozów, nie było żadnych problemów na tle politycznym. KPRM załatwiała dla głowy państwa wszystko. Odbywało się więc m.in. drobiazgowe sprawdzanie lotniska.

Na czym polegało?

Miesiąc wcześniej przyjeżdżała z wizytą studyjną ekipa z KPRM, Kancelarii Prezydenta, BOR i 36. pułku. Sprawdzano, jak wszystko wygląda, gdzie będzie stał samolot, jak będzie pilnowany, gdzie będzie spała załoga itd.

Ochrona? Snajperzy?

Ich wystawiali Anglicy. Obchodziłem te snajperskie stanowiska. Ale takie szczegóły leżały po stronie gospodarza. Jednak goście mogli – i powinni – mieć na wszystko oko. A przecież

nawet przy wizycie prywatnej, gdy prezydent Kwaśniewski przyleciał do Londynu na koncert Pendereckiego, wszystkie te procedury obowiązywały.

Zupełnie inaczej niż w Smoleńsku. Rekonesansu lotniska nie było, bo Rosjanie nie wpuścili. O tym, jak wygląda „wieża”, nasza strona dowiedziała się po katastrofie. Na londyńskiej wieży ktoś z Polski bywał?

Na Heathrow wchodzili tylko Amerykanie. Ale pamiętajmy, że w Londynie nie stoi rozlatujący się barak. Zresztą przy jednej z wizyt Anglicy sami zapytali, czy ktoś od nas będzie na wieży. To nie było więc nic nadzwyczajnego. Wpuściliby bez problemu.

Co jeszcze należało do pana obowiązków?

Sporo było pośredniczenia w kontaktach z pułkiem. Pewnego razu zaproponowano prezydentowi Kwaśniewskiemu lądowanie na City Airport jako lotnisku bardziej prestiżowym i wygodniejszym. Przekazałem tę informację do pułku, zapytano o parametry techniczne i okazało się, że tupolew mógłby się tam nie zmieścić – zdaje się, że chodziło o ścieżkę podejścia. Nie ryzykowano więc.

Piloci lecący do Smoleńska otrzymali z Rosji nieaktualne karty podejścia, ale nikt ich nie zweryfikował. Pogodę też sprawdzano?

Jasne. W dniu wylotu mimo otrzymania prognozy z Londynu był telefon z pułku do ambasady albo nawet depesza, aby potwierdzić warunki. Po prostu musiał istnieć drugi kanał. Tak było ze wszystkim, niezależnie od statusu wizyty. W jej dniu musiałem od rana być na lotnisku, by wszystkiego osobiście dopilnować. Oczywiście z Anglikami pracowało się inaczej niż – jak sądzę – z Rosjanami.

Tym bardziej więc należało stosować własne procedury w Rosji.

Zdecydowanie. Pamiętajmy, że w ambasadzie jest komórka bezpieczeństwa. Zatrudniony jest tam człowiek ze służb właśnie do pilnowania bezpieczeństwa. Sam pełniłem tę funkcję. Taka osoba ma pełne prawo, a nawet obowiązek, reagować na wszystkie nieprawidłowości. Powinna dostać instrukcję co do konkretnych działań. Ja je otrzymywałem przed każdą wizytą prezydenta lub premiera. A niekiedy, w czasie rządów AWS i prezydentury Kwaśniewskiego, dostawałem potrójne – ode mnie z UOP, drugą z KPRM, a trzecią (bywało, że taką samą) z Kancelarii Prezydenta. Często wysyłałem więc tę samą depezę z odpowiedzią do trzech adresatów. Obawiam się, że te procedury 10 kwietnia w ogóle nie zostały dopełnione.

8 kwietnia naczelnik Wydziału Federacji Rosyjskiej w MSZ wysłał mejla do ambasadora w Moskwie, kilkorga innych pracowników placówki, a także do wiceszefa MSZ i dyrektora protokołu dyplomatycznego z informacją, że „lotnisko nic nie wie o lądowaniu samolotu z prezydentem”. Minister Kremer po dwóch godzinach odpisał, że to sprawa fundamentalna i zażądał natychmiastowego wyjaśnienia wszystkich szczegółów organizacyjnych. Było półtorej doby do wizyty!

Po takim komunikacie szefowie służb powinni zawiadomić prezydenta i uczestniczących w przygotowaniach oraz rozpocząć działania, które tę sytuację zmieniają. Jak to możliwe, że lotnisko nie wiedziało o lądowaniu niespełna dwa dni przed?! O prywatnej wizycie prezydenta Kwaśniewskiego dowiadywałem się z depeszy prawie miesiąc wcześniej. To był prezydent, na miłość boską!

Co pan robił 10 kwietnia, gdy nie mógł się dodzwonić do nikogo z przełożonych?

Miałem dwa telewizory i dwa komputery. Jednocześnie oglądałem Rossija1, TVN24, BBC i CNN. To może się wydawać dziwne, ale przy analizie wywiadowczej warto w tym samym czasie śledzić różne źródła. Cóż zobaczyłem? Niespełna godzinę po katastrofie Rosjanie mówili o błędzie pilotów. Zdumiałem się, gdy jakieś dwie minuty później powtarzał to TVN24. Ze znakiem zapytania, ale powtarzał. Tymczasem na BBC i CNN widziałem, że rozpatrywane były różne warianty, w tym zamach. Jak można od razu stwierdzać przyczynę? Ten znak zapytania w polskiej telewizji odebrałem jako postawiony niejako z przymrużeniem oka. Sam oczywiście nie wiedziałem, co się stało.

Rozpatrywałem trzy warianty: katastrofę spowodowaną usterką samolotu bądź pogodą, błąd pilotów i zamach. Około 12.00 w TVN zaczynają się pojawiać jacyś eksperci i mówią rzeczy, których nikt nie rozumie, bo nie ma wśród nas 38 mln pilotów. Widzę, że ta narracja w głównych mediach zmierza ku tezie o winie załogi. Szybko się też okazuje, że Pałac Prezydencki zostaje natychmiast przejęty przez Bronisława Komorowskiego. Mówi się coś o konstytucji i konieczności kontynuacji władzy. Ale my nie jesteśmy Stanami Zjednoczonymi, gdzie po kwadransie nieprzytomności prezydenta jego obowiązki przejmuje zastępca. Wyglądało to tak, jakby oni się bardzo spieszyli. I natychmiast zapadają decyzje, zajmowane są biura, ABW wchodzi do BBN. To było wręcz zachłanne.

Zauważyłem też, że Rosjanie zaczynają blokować lotnisko. 20 lat pracowałem „na tym kraju”. Znam ich. Wiem, jaki mają bałagan. Nie byliby w stanie w ciągu 15 min. podciągnąć w takim Smoleńsku tak licznych jednostek do zabezpieczenia lotniska po katastrofie. Stwierdziłem, że nie chodziło o zabezpieczenie śladów, ale ich izolowanie. Od razu zadałem sobie pytanie: gdzie są nasi ludzie? Gdzie jest ambasada? Wiem, że trochę czasu musiało minąć, ale natychmiast na miejsce powinna wyruszyć grupa oficerów służb specjalnych. Nawet jeżeli trzeba by było ich ujawnić. Trudno, zawsze są tacy, którzy mogą by ujawnieni. Należało zabezpieczać ślady.

Według zapewnień ministra Jacka Cichockiego przy zabezpieczaniu przedmiotów osobistych ofiar obecni byli żandarmi i ABW (dotarli na miejsce dopiero wieczorem). Na niewiele się zdali, bo cały sprzęt Rosjanie zarekwirowali i długie miesiące go nie oddawali. Nie wiemy też, co robili przez cały dzień ze znaleziskami i co dokładnie trafiło w ich ręce. Laptop szefa BBN nie odnalazł się do dziś. To pokłosie pełnej swobody Rosjan na miejscu tragedii.

A przecież dookoła mamy ambasady. Z nich można było błyskawicznie wysłać ludzi.

To się da zorganizować?

Oczywiście. Jaki to problem? Są Mińsk, Moskwa, Kijów, Wilno. Ludzie od nas – zdradzam oczywiście wielkie tajemnice, że w ambasadach siedzą oficerowie wywiadu... – powinni być od razu uruchomieni. Trudno, palimy ich przed Rosjanami, ale gra jest warta świeczki. I nie prosimy, lecz informujemy, że ślemy ludzi. Nie jadą tam szpiegować, ale pilnować Rosjan, dopóki nie przyleci oficjalna ekipa. Po Lockerbie lokalny szef FBI natychmiast pojawił się na miejscu i obserwował Anglików, by nie przejęli skrzynek. W tych wszystkich wymienionych wyżej miastach są też ataszaty wojskowe, w których ludzie mają paszporty dyplomatyczne. Co się z nimi działo? Oglądali telewizję? Oczywiście zaraz podniosą się głosy, że tak nie można, że przecież dobro służby itd.

Ale od czego jest ta służba?

Ma pan absolutną rację. Nie mówię o uruchamianiu źródeł ani prowadzeniu działalności wywiadowczej, ale o zwykłym, fizycznym zabezpieczeniu miejsca katastrofy, żeby nie pozwolić Rosjanom rozkraść tego wszystkiego. Miejsce katastrofy w sensie kryminalistycznym zostało dokładnie zniszczone.

Rozumiem, że ci ludzie w placówkach na Białorusi czy Litwie byli w gotowości?

Oczywiście. Wystarczyło jednym telefonem postawić ich na nogi i wydać polecenia. A przede wszystkim robić krzyk na cały świat, tzn. wykorzystywać fakt, że wszyscy patrzą na Smoleńsk. Rosjanie kogoś by nie wpuścili? Nie ma mowy.

Wspomniał pan o tej nadreprezentacji rosyjskich służb krótko po katastrofie. Ja dojechałem na miejsce kilkadziesiąt minut po rozbiciu się samolotu, 30-40, może trochę więcej. I już przepychaliśmy się z funkcjonariuszami OMON.

No właśnie. Skąd oni wzięli tyle tego cholernego OMON? To było niewiarygodne. Może w Moskwie, gdy wiedzą, że przyjedzie Putin, OMON jest pod ręką, ale w tym przypadku? W sobotę rano? To jest Rosja, ignorowana wizyta, lotnisko bez wyposażenia, wieża udająca pracę i nagle mamy zatrzęsienie służb. Rosjanie od razu przejęli inicjatywę i położyli na wszystkim łapę.

Rok wcześniej, gdy białoruski Su-27 rozbił się w Radomiu, czekaliśmy na Białorusinów. 10 kwietnia Rosjanie od początku robili, co chcieli. A czym zajęli się przedstawiciele ambasady z Jerzym Bahrem na czele? Wszyscy powinni wykorzystać swój status dyplomatyczny, stanąć tam i fizycznie nie wpuścić Rosjan na miejsce katastrofy.

Proponuje pan scenariusz jak z filmu sensacyjnego.

To nie jest tak, że Wroński gada głupoty. Sytuacja była nadzwyczajna. Należało zmusić Rosjan do czekania na polską ekipę. Musieliby się zgodzić.

A co na miejscu robił Specnaz?

Też się zastanawiam. Rosjanie mogą się tłumaczyć ochroną prezydenta, ale to nieprawda. Ich było za dużo. A to może oznaczać, że dokładnie wiedzieli, co się stanie. Specnaz najprawdopodobniej miał za zadanie błyskawicznie zebrać rzeczy ważne dla służb, czyli dokumenty osobiste, służbowe, ale przede wszystkim telefony i inne środki łączności, o których pan wspominał. No i czarne skrzynki. Rosjanie de facto je ukradli. W efekcie dysponujemy wyłącznie kopiami. Po katastrofie Germanwings w francuskich Alpach Niemcy polecili po rejestratory, które odplombowali oraz zbadali dopiero u siebie. Po Lockerbie było tak samo. A w naszym przypadku?

Oficjalnie podniesiono je wieczorem, w obecności naszych prokuratorów. Jest nawet z tego protokół. Ale kilka godzin wcześniej, gdy na miejscu nie było jeszcze Polaków, minister ds. nadzwyczajnych Siergiej Szojgu informował, że trwa badanie rejestratorów.

Właśnie – więc o czym my mówimy? Dopóki Rosjanie ich nie oddadzą, możemy robić sobie jeszcze tysiące badań. Odpuściliśmy szalenie ważny dowód, co wynika m.in. z braku obecności polskich służb na lotnisku. Gdzie był BOR? Na Heathrow Biuro zawsze wysyłało kogoś z Polski, by czekał na głowę państwa. To oblig!

W Smoleńsku nikogo takiego nie było. Funkcjonariusze z grupy przygotowawczej przyjechali po kilkadziesiąt minutach z Katynia. Na początku szef BOR tłumaczyły ze na lotnisku

było dwóch jego ludzi, ale szybko okazało się to nieprawdą. Marian Janicki miał bowiem na myśli np. kierowcę ambasadora...

To jakieś nieporozumienie. W Londynie też miałem na stałe BOR-owców jako kierowców. Tylko raz przed wizytą proszono mnie, by przejechać z nimi trasę, aby sprawdzić, czy zdążymy się dostać do punktu docelowego. Natomiast oni nie mieli prawa reprezentować Biura jako ochrony czekającej na prezydenta. Skoro nie było nikogo z BOR, popełniono ogromny błąd w procedurze bezpieczeństwa. Jak można było tak zorganizować tę wizytę? To wręcz niemożliwe!

Wieczorem premier Tusk przyjechał do Smoleńska, gdzie czekał już Władimir Putin.

Dla mnie to był szok. Skoro było wiadomo, że to lotnisko jest źle wyposażone, wieża ma nieprawidłowo działający sprzęt, panuje chaos, jak Rosjanie mogli pozwolić, by ich przywódca tak szybko tam się zjawił? Nie zdążyliby z procedurami. To nie była sytuacja wojenna, by ich Air Force One w pięć minut był gotowy do startu. Na wypadek wojny prawdopodobnie mają specjalne środki, specjalny samolot, zapewne tajny itd. Ale to nie była taka sytuacja, a od razu z nieba pojawił się Putin w rządowym samolocie, spokojnie wylądował i się nie rozbił. Nawet Amerykanie, ewakuując po 11 września prezydenta Busha, mieli nieco dłuższą zwłokę. Przyjmijmy, że Rosjanie okazali się tak sprawni, iż akurat Putin mógł przylecieć w parę godzin. Ale z gotową narracją? Kolejnymi opiniami prawnymi wdrażanymi od rana? Całym planem postępowania narzucanym Polsce? Oglądając rosyjską i naszą telewizję, doszedłem do wniosku, że to Putin staje się dyrygentem. Rosjanie natychmiast wprowadzili swoją narrację, która sfinalizowała się w raporcie Anodiny, na dokładkę została powtórzona w raporcie Millera. Wielokrotnie o tym rozmawiałem z kolegami z Agencji. Mają podobne odczucia.

W kolejnych dniach musiał się pat utwierdzać w tym przekonaniu.

Dokładnie tak. Jeszcze przed pogrzebem zaczęto kompromitować prezydenta i „działanie osób trzecich”. Nie wolno tak robić! W każdym takim przypadku hipoteza zamachu jest podstawowa. Rozpoczęła się za to idiotyczna dyskusja, czy prezydent był na tyle wielki, by ktoś mógł chcieć go zabić.

I – przypomnijmy – miał nie mieć szans na reelekcję. W tym roku zobaczyliśmy, ile warte są sondaże przedwyborcze.

Ta cała narracja od początku mi nie pasowała. Warto też wspomnieć o próbach postępowania Antoniego Macierewicza za to, że tak szybko opuścił Smoleńsk. Moim zdaniem on podjął decyzję nerwową, ale jedyną słuszną. Przyleciał zabezpieczać dokumenty, bo zorientował się, co się dzieje. Zresztą miał doświadczenie z 1992 r. Choć nie mogę mu darować, że dał się wpakować w ten legalistyczno-naukowy bełkot. Zamiast przeprowadzić prostą analizę, mówić o procedurach, przygotowaniach itp., mieliśmy skomplikowaną naukową dyskusję. Być może bardzo ważną, ale nie do zrozumienia dla zwykłego człowieka. To są sprawy poboczne, one zaciemniają obraz. Wiem, że to nie było intencją pana Macierewicza, ale dał się w to wpisać. Chciał działać lege artis, bo wiedział, że wszyscy będą go atakować, lecz odniósł skutek odwrotny, Strona rządowa wykorzystwała jego skrupulatność. Proszę zauważyć, że gdy pojawiła się sprawa trotylu, nie skupiono się na odpowiedzi, jak on mógł się tam znaleźć, ale na technikaliach – co pokazują spektrometry, jak działają – i znów umknęły fundamenty.

Zespół parlamentarny i naukowcy z Konferencji Smoleńskiej nie mieli innego wyjścia. Musieli wejść w szczegóły techniczne, którymi komisja Millera i prokuratura się nie zajmowały. A co do trotylu, to prokuratorzy zaczęli narrację o urządzeniach, które wykrywają materiały wybuchowe w paście do butów, choć producent mówi co innego. Później były badania CLKP wykluczające trotyl, a żmudna analiza niezależnych chemików wykazała, że najprawdopodobniej wykryto i TNT, i heksogen. Wchodzenie w drobiazgi pozwoliło więc na obnażenie wielu kłamstw.

Ma pan rację, ale ja patrzę szerzej. Strona rządowa wiedziała, że ludzie są tym zmęczeni i zdezorientowani. O to chodziło. Nie krytykuję Antoniego Macierewicza. Problem w tym, że przerzucanie się naukowymi argumentami zaciemniło obraz.

Pamiętajmy też, że zespół parlamentarny, naukowcy i rodziny, które też wykonują tytaniczną pracę, de facto mają jeszcze jedno zadanie – wprowadzanie śledztwa na odpowiednie tory albo przygotowanie podwalin pod nowe postępowanie, które kiedyś być może się rozpocznie.

Zdaję sobie z tego sprawę. Ale światło reflektorów średnio temu sprzyja.

W takim razie dochodzimy do problemu mediów. Dziennikarze nie chcą, nie potrafią, nie pozwalają im się (niepotrzebnie skreślić) skupić na najważniejszych kwestiach, które są obśmiewane.

Właśnie. Trzeba było mieć świadomość, że główne media będą przeciwko Antoniemu Macierewiczowi i narracja zostanie sprowadzona do tych nieszczęsnych parówek. To zresztą kolejny element, który w mojej tabelce z rubrykami „zamach” i „wypadek” stawiam po tej pierwszej stronie – ośmieszanie wszelkiego rodzaju wątpliwości oraz ataki personalne zamiast merytorycznych. Media są ważnym czynnikiem w całej tej grze.

Wykluczenia zamachu?

Tak, ale chciałbym być dobrze zrozumiany. Mówiąc o zamachu, nie wyrażam swoich prywatnych poglądów. Analizuję dostępne informacje. Pamiętajmy też, że katastrofy nie trzeba powodować wybuchem. Można stworzyć takie okoliczności, które doprowadzą do tragedii. Od zmęczonej załogi, przez nieaktualne mapy podejścia, złą prognozę pogody, po nieprzygotowane lotnisko i „odpowiednią” obsługę na wieży. Nie potrafię zrozumieć, jak można było pozwolić, by ta „wieża” tak funkcjonowała. Trudno myśleć, by nie było to zorganizowane specjalnie. Nie jest możliwe, by nie działał monitoring, radar nieprecyzyjnie pokazywał pozycję samolotu, radiolatarnia działała nieprawidłowo, brakowało oświetlenia, a kontrolerzy wprowadzali załogę w błąd. Za dużo tego. Chciałbym zobaczyć porównanie pracy kontrolerów 10 i 7 kwietnia. Nie zrobiono tego. Podejrzane jest również to, że strona rosyjska szybko tych kontrolerów „schowała”.

Pierwotnie w ich przesłuchaniu uczestniczył polski prokurator, ale później Rosjanie unieważnili sobie protokoły i przestali nowe...

Gdy zbierze się to wszystko, układa się bardzo niepokojący obraz. Nie mogę tego powiedzieć wprost, ale wiem, że Agencja Wywiadu musiała mieć informacje na temat zagrożeń i skandalicznego przygotowania wizyty.

Skąd?

Nie powiem, bo popełnię przestępstwo. Musi panu wystarczyć, że bezpośrednio od osób zainteresowanych i przygotowujących wizytę.

Czyżby miała oficera wśród urzędników przygotowujących uroczystości?

To już pana interpretacja. Nic więcej powiedzieć nie mogę. Powtórzę – musiała mieć te informacje na bieżąco. Jeżeli ich nie miała, znaczyłoby to, że źle działa. Ale jeżeli miała i nie podjęła żadnych działań, tu dopiero pojawia się ogromny problem. Dlaczego nie reagowała?

W 2010 r. „Nasz Dziennik” napisał o raporcie kontrwywiadu, według którego rosyjskie służby przed katastrofą wzmogły aktywność. Dzisiejszy (w 2010 r. również) szef Agencji Wywiadu Maciej Hunia wcześniej kierował SWW i kontrwywiadem w ABW. Miał doskonale rozeznanie. Pytania automatycznie kierują się w jego stronę.

Oczywiście. Jest „jednostką administracyjną”. Powinien to wszystko wyjaśnić. I nie ma się co zasłaniać tajnością. Konieczny jest audyt z działania służb przed, w trakcie i po 10 kwietnia o odpowiedź na pytanie, kto wpłynął, żeby wszystko wyglądało tak, jak panu od godziny opowiadam. Moim zdaniem prokuratura wie, że służby nie zrobiły nic, ale tę wiedzę utajniła, bo dopiero by się zrobiła awantura. Mam wrażenie, że śledczy zajmują się skutkami, pomijając przyczyny. Jest jeszcze czas, żeby powstał w służbach zespół czysto operacyjny, który zajmie się wyjaśnieniem katastrofy. Niech to potrwa następne 15 lat, ale to trzeba wyjaśnić.

Jeśli zebrać wszystkie elementy pana analizy, wniosek nasuwa się jeden – katastrofa smoleńska musiała być przygotowana.

Boję się tej odpowiedzi. I nie dlatego, że nazwą mnie wariatem. Już ląduję w gronie „oszołomów”, „wyznawców religii smoleńskiej”, „kretynów”, pal sześć. Zapewne nie mogąc znaleźć kontrargumentów, znajdzie mi się, że mam drugą żonę albo kiedyś się za bardzo upiłem. Oczywiście, że parę razy w życiu się upiłem i robiłem dziwne rzeczy, jak każdy normalny człowiek, tylko że nie przy ośmiorniczkach, w innym gronie i nie rozmawialiśmy wtedy o sprawach korupcyjnych. Moja analiza jest zbieżna z podobnymi, przeprowadzonymi przez emerytowanego oficera CIA, a także z BND, o których mogliśmy j czytać. Służby na całym świecie widzą to podobnie. A im więcej mija czasu, tym więcej poszlak, które prowadzą w stronę hipotezy o zamachu. Wniosek, że zrobiono wszystko, by do katastrofy smoleńskiej doszło, jest jak najbardziej słuszny, choć boję się go jako Polak i oficer po 30 latach pracy w dwóch systemach. Z jednym rozliczyłem się książką. Ale z obecnym systemem też się trzeba rozliczyć. Prędzej czy później wszystko wyjdzie. Im wcześniej to załatwimy, tym lepiej będziemy mogli zacząć normalne funkcjonowanie państwa.

Piotr Wroński – w latach 80. pracował w XI Wydziale I Departamentu SB, pozytywnie zweryfikowany przeszedł do UOP, od 2002 r. w Agencji Wywiadu. W latach 2000-2006 na placówce w Londynie. W 2013 r. przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika. Autor ujawniającej metody operacyjne SB książki „Spisek założycielski. Historia jednego morderstwa”. Kolejne w przygotowaniu.

(„wSieci”, 22-28 czerwca 2015)